

"Apolityczny uniwersalizm" Niemiec

* Myślę całkiem na serio, że Angela Merkel jest najbardziej „propolskim” przywódcą Niemiec od Ottona III -* przypominamy rozmowę Jana Czernieckiego z Janem Rokitą o relacjach niemiecko-polskich



Myślę całkiem na serio, że Angela Merkel jest najbardziej „propolskim” przywódcą Niemiec od Ottona III - przypominamy rozmowę Jana Czernieckiego z Janem Rokitą o relacjach niemiecko-polskich

Jan Czerniecki (Teologia Polityczna): Jak Pańskim zdaniem można by opisać dzisiejszy stosunek Niemiec do Polski? Czy jesteśmy dla nich ważnym partnerem, czy raczej ważnym graczem, ale drugiej

kategorii? Czy nowe rozdanie polityczne w Polsce może Pańskim zdaniem zmienić dotychczasową sytuację?

Jan Rokita: Myślę całkiem na serio, że Angela Merkel jest najbardziej „propolskim” przywódcą Niemiec od Ottona III. Mam na myśli to, że styl, który nadała ona w ciągu ostatnich lat niemieckiej polityce, stworzył wyjątkowo komfortową dla polskiej polityki.

Po pierwsze (choć chyba nie jest to najważniejsze) dlatego, że w Kanzleramcie rządzonym przez Merkel Warszawa została zaliczona do wąskiej grupy stolic, z którymi wszelkie różnice interesów usuwać należy drogą bezpośrednich konsultacji, trwających dotąd, aż przyniosą kompromis. Takie podejście obowiązuje jeszcze wobec Ameryki, Francji, Austrii, Holandii, chyba także Wielkiej Brytanii – i to wszystko. Oznacza to, że Berlin wykluczył ze swojej polityki taki paradygmat działania, który skutkowałby ignorowaniem polskiego interesu w jakiegokolwiek materii, którą rząd polski przedstawia jako różnicę zdań bądź interesów. To podejście Merkel jest widoczne choćby przy takich konfliktowych kwestiach, jak: pozwolenia na emisję CO₂, płaca minimalna w Niemczech, bazy NATO na wschodniej flance, umowa stowarzyszeniowa z Ukrainą, wysokość funduszy spójności UE, sposób relokacji imigrantów etc. Każdorazowo Merkel do momentu, w którym przekona polskich partnerów do zgody na pryncypia proponowanej przez nią polityki, czyni jakieś istotne ustępstwa. W efekcie jeżeli umie się wykorzystać ten mechanizm, to od Berlina zawsze można sporo „ugrać”. Gdyby ująć rzecz w perspektywie tradycji, można by powiedzieć, że Merkel jest w swej polityce polskiej radykalnym przeciwieństwem tradycji pruskiej, ukształtowanej przez Zakon, Hohenzollernów i bismarckowskie Cesarstwo.

Jednak ważniejszym elementem owego „wygodnego” dla Polski stylu polityki Merkel jest sposób, w jaki Niemcy pod jej przywództwem podchodzą do polityki globalnej. Tę głęboko niemiecką cechę uprawiania polityki globalnej Tomasz Mann nazwał kiedyś „apolitycznym uniwersalizmem”. Merkel jest jednym z nielicznych przywódców światowych, którzy „na poważnie”, „nie udając niczego” w tym zakresie, kategorycznie odrzucają geopolitykę i budowanie układów równowagi sił jako metodę działania politycznego. Co więcej, Merkel (co mówiła nawet parokrotnie w nie całkiem otwartych gronach) uważa, że powrót do tego „starego” (nazwijmy go: powestfalskiego) modelu stosunków międzynarodowych grozi wielkim nieszczęściem dla samych Niemiec, które jej zdaniem ciągle mają święty obowiązek przewycięzać w sobie winę nazizmu. Tylko dzięki takiemu podejściu Merkel możliwe były zdarzenia z punktu widzenia „tradycyjnej” polityki tak irracjonalne, jak opcja Berlina na rzecz Majdanu, sankcje wobec Putina wbrew elementarnym interesom niemieckiego przemysłu, zgoda na ratowanie Grecji wbrew niemieckiemu społeczeństwu i klasie politycznej, a obecnie – *Willkommen Politik* wobec imigrantów, nawet za cenę kryzysu politycznego zagrażającego samej Merkel. W tym znaczeniu, posługując się kategorią typową dla debat politycznych w USA, można powiedzieć, że polityka niemiecka jest dziś w Europie bez wątpienia najbardziej „idealistyczna”, co czasem może sprawiać spore kłopoty (imigranci), ale co do zasady w najwyższym stopniu leży w polskim interesie. Gdzieś na dnie tego idealizmu jest też młodzieńczy podziw Merkel dla ruchu „Solidarności” i jej prywatny kompleks niezaangażowania się w ruch dysydencki w NRD. Powrót Niemiec do „realizmu”, na co się powoli, ale coraz bardziej zanosi, będzie doprawdy

momentem bardzo ciężkiego przebudzenia, zwłaszcza dla Polski. Siła polityczna Merkel jest dziś ciągle potężnym bastionem opóźniającym ten nawrót.

Zmiana wyborcza w Polsce jest problemem dla niemieckiej polityki co najmniej w dwojakim sensie. Po pierwsze, będzie problemem, jeżeli nowa władza będzie artykułowała polskie interesy w sposób ostentacyjny, propagandowy, „arogancki” w rozumieniu Berlina, a przede wszystkim – „nienegocjacyjny”. Podkreślam: rzecz nie w samych różnicach interesów czy poglądów, do tego akurat w stosunku do Polski Niemcy są już bardzo dobrze przyzwyczajeni. To mogłoby wywołać pytanie, czy Polska może być nadal traktowana jako państwo uprzywilejowane (z perspektywy Berlina), tzn. takie, wobec którego obowiązuje doktryna negocjowania aż do skutku. Krótko mówiąc, retoryczny, a czasem nawet awanturniczy styl artykułowania racji przez PiS może być problemem. Natomiast po drugie, w szefostwie CDU chyba w ogóle nie rozumie się powodów, dla których Polska miałaby postulować większe „unarodowienie” polityki w Europie. Nie bez powodu uważa się tam, że „wspólnotowa” Europa leży w interesie przede wszystkim takiego kraju, jak Polska, więc jeśli z Warszawy słyszą niezadowolenie z tego kierunku, to zaczynają przypuszczać, że chodzi o zjawiska irracjonalne politycznie, coś w rodzaju działania na własną szkodę. Na tym polu Kaczyński z Merkel nie znajdą wspólnego języka, czy raczej – chyba nie będą w stanie się nawzajem zrozumieć.

A jak wygląda podejście Niemiec do Europy? Czy można już mówić o otwarciu o statusie Niemiec jako hegemonia na kontynencie? Z drugiej strony, mamy ciągle powracający motyw solidarności europejskiej. Jak nasi zachodni sąsiedzi odnajdują się w tych dwóch wariantach?

Jest pewien poważny kłopot z niemieckim podejściem do Europy. Ów mannowski „apolityczny uniwersalizm” przejawia się m.in. w tym, że Niemcy Merkel uważają się za sprawiedliwego strażnika i obrońcę europejskich wartości, którym co rusz ktoś w Europie zagraża wskutek własnej nieodpowiedzialności. To Merkel musiała przywołać do porządku państwa łacińskie psujące wspólną walutę; to Merkel zmuszona była dać trochę po łapach Putinowi, aby pozwolił odetchnąć Ukrainie; to Merkel po matczynemu pilnuje chuligana Orbana, aby ów nie przekroczył dopuszczalnej miary; to Merkel musi wyznaczać granice suwerennościowych żądań Camerona, aby nie były nazbyt bezczelne; to Merkel musi ratować świat przed katastrofą ocieplenia klimatu; w końcu to Merkel teraz, ryzykując cały swój dorobek, próbuje dopilnować, aby Europa nie zamknęła się na prześladowanych Syryjczyków. Rzecz w tym, że w Berlinie przywykło się już sądzić, że to „niemieckie standardy” winny być wyznacznikami solidarności europejskiej i wokół nich winna się zbierać cała Unia. Kłopot, o którym mowa, polega na tym, że tak się nie dzieje i polityka niemiecka zaczyna wtedy najczęściej tracić grunt pod nogami.

Georg Wilhelm Forster napisał między dwiema wojnami światowymi takie zdanie o dawnej tożsamości swego kraju: „Niemcy stanowiły polityczną substancję Europy, która była ze swej strony polityczną substancją Niemiec”. Wydaje mi się, że te słowa oddają istotę merkelowskiego europeizmu. Dzisiejszy Berlin „troszczy się” w swoim przekonaniu o całą Europę, bo taka troska jest przecież istotą misji Niemiec w Europie. Ale ponieważ się troszczy, to oczekuje co najmniej zrozumienia i uznania dla wartości i standardów, których broni. Z tego myślenia bierze się prawdziwe rozczarowanie Merkel tym, że inni w Europie nie chcą wziąć „troszkę” imigrantów, skoro i tak Niemcy biorą ich przecież 90%. Solidaryzm europejski – to w ujęciu dzisiejszej

polityki niemieckiej solidaryzm skoncentrowany wokół „niemieckich wartości”, ale nie dlatego, że są one „niemieckie”, lecz dlatego, że w przekonaniu Niemców są przecież w najwyższym stopniu „europejskie”. Tusk niedawno powiedział, że Niemcy sprawują przywództwo w Europie w sposób wyjątkowo łagodny (zdaje się, że mówił to z wyrzutem). I taka jest właśnie samoświadomość chadeckiej elity Niemiec, skupionej wokół Merkel.

Niewątpliwym faktem przemawiającym na korzyść Niemiec jest to, że rzeczywiście poza „niemieckimi standardami” nikt nie prezentuje żadnej poważnej wizji europejskiej solidarności; wokół Niemiec jest dziś tylko skomplikowana plątana sprzecznych interesów krajów, ideologii i wielkich lobby finansowych. Przynajmniej do czasu kryzysu imigracyjnego Niemcy były ostatnio jedynym czynnikiem jakiegoś wewnętrznego ładu Europy. Na tym właśnie polegało dotąd znaczenie Niemiec w polityce światowej. Europa ciągle jeszcze jest istotnym czynnikiem polityki światowej, więc (zgodnie ze znanym powiedzeniem) jeśli ktoś na świecie chce zadzwonić do Europy, to dzwoni do Merkel. Bez Europy światowe znaczenie Niemiec bardzo by zmalało. Dziś pozostaje otwarte pytanie, na ile błąd Merkel w kwestii imigrantów, popełniony na samym początku, sprawi teraz, że Niemcy z ośrodka porządku europejskiego staną się (jak niegdyś) centrum europejskiego chaosu. To jest możliwe i byłoby fatalne z polskiej perspektywy.

Przed nami otwiera się być może nowy rozdział w dziejach Europy: mieliśmy kryzys strefy Euro, kryzys z imigrantami, powracające pytania o zasadność pozostawiania w strukturach EU - jak choćby ostatnio w Wielkiej Brytani. Zakładając, że ruchy te przyniosą poważną reorganizację Unii - czy nawet jej rozpad - czy

można dostrzec w Niemczech zarys planu B na taką ewentualność? A jeżeli tak, czy można przewidzieć w nim rolę Polski?

W moim przekonaniu w Berlinie nie ma planu B na okoliczność rozpadu Unii, a – zgodnie z ulubionym powiedzeniem Merkel – obrona Unii jest tam traktowana jako „bezalternatywna” (jak zresztą wszystko inne, co Merkel proponuje). Tym niemniej Niemcy dość łatwo przystosują się do hipotetycznych nowych warunków europejskich, w których Unia zostałaby całkowicie sparaliżowana decyzyjnie i zaczęłaby obumierać (jak w scenariuszu ze znanego eseju Zielonki). W trakcie ostatniej odsłony kryzysu greckiego, tuż przed kapitulacją Tsipriasa, Wolfgang Schäuble zaproponował w pewnym momencie, żeby Grecja („na jakiś czas” – to wyglądało na żart) opuściła jednak unię monetarną. Potem się z tego wycofywał, ale ten przypadek może dowodzić, że w Berlinie czasami przynajmniej (zapewne nie w samym Kanzleramcie) dyskutuje się warianty „zmniejszenia Europy”, w której będą przestrzegane „niemieckie standardy”, gdyby zaszła taka konieczność. Jak wiadomo, w Holandii zrodziła się ostatnio idea „niemieckiej strefy Schengen” bez krajów łacińskich.

Każda taka sytuacja stwarzać będzie narastający dyskomfort dla polskiej polityki. Dobrowolne znalezienie się w obszarze czysto niemieckiego porządku i dominacji byłoby katastrofalne dla narodowego samopoczucia Polaków. Znalezienie się poza takim obszarem, w warunkach hipotetycznej destrukcji Unii, byłoby natomiast prawdziwą katastrofą polityczną kraju, a to co najmniej z dwóch fundamentalnych powodów. Po pierwsze – teren Polski i Niemiec stanowi dziś jednolity obszar gospodarczy, któremu nasz kraj zawdzięcza ostatnie 10 lat rozwoju. Trzeba być świadomym, że ten

obszar, powstający organicznie przez cały XIX wiek, został gwałtownie rozerwany po dwóch wojnach światowych i dopiero wejście Polski do UE spowodowało jego odbudowę. Dziś jest to najbardziej wartościowy element współczesnej polskiej geopolityki. Po drugie (ale tu już wchodzimy na teren bardzo „historiozoficznych” rozważań), to, czego dowiedzieliśmy się z ostatnich 350 lat polskiej historii, to fakt, iż Państwo Polskie nie miało zdolności suwerennego istnienia w warunkach powstałych w Europie po traktacie westfalskim i dopiero złamanie tych warunków po II wojnie światowej przez zjednoczenie Europy i sojusz z Ameryką przywróciło mu geopolityczne szanse na zmartwychwstanie. Wiele zdaje się wskazywać na to, że gdyby nastąpiła destrukcja politycznej jedności Zachodu, uczestnictwo w małej niemieckiej „Mitteleuropie” mogłoby okazać się katastrofą mimo wszystko mniejszą niż pozostawanie na zewnątrz.

Z Janem Rokitą rozmawiał Jan Czerniecki